

Ze sceny rzucali w widzów nie tylko

Rozmowa

Wojciech Dąbrowski i Paweł Okoński, aktorzy, reżyserzy i współwłaściciele Wrocławskiego Teatru Komedia, który świętuje w tym roku jubileusz 20-lecia działalności, opowiadają o początkach swojej przygody z Komedią

Robert Migdał
robert.migdal@gazeta.wroc.pl

20 lat temu założyliście razem teatr. prowadzicie go – też razem. Czujecie się jak stare, dobre małżeństwo?

Paweł Okoński: Małżeństwo tak, stare też, ale czy dobre? Nie najgorsze...

Wojciech Dąbrowski: Kawał czasu. Przeszliśmy wszystkie etapy, jak to w małżeństwie: spotkaliście się, był okres miłości, docierania się...

PO: Był też okres nienawiści, buntu, kłótni.

WD: Ale ważne, że znaleźliśmy wspólną drogę, dogadujemy się po tylu latach. A to nie było, i nie jest łatwe – bo jestem strasznym cholerykiem, wybucham szybko. Na szczęście Paweł jest innej natury, spokojniejszej, nie zapala się tak łatwo.

PO: Mieliśmy różne pomysły na niektóre sprawy, ale szliśmy na kompromisy, dogadywaliśmy się i nadal się dogadujemy. Teatr nas łączy. Tak jak w małżeństwie – ludzi łączą dzieci, wspólny dom, kredyt.

WD: Dobrze, że spotykamy się tylko w pracy i nie mieszkamy obok siebie – może dzięki temu „nasz związek” tak długo trwa.

Was, jak na razie, łączy 25. dzieci – tyłoma premierami, od czasu powstania, możecie pochwalić Wrocławski Teatr Komedia.

PO: Sporo nam się tych dzieci narodziło.

WD: I się tak porobiło, że niektóre te dzieci są nasze wspólne, niektóre dzieci robiliśmy osobno – takie skoki w bok.

PO: Niektóre były adoptowane, ale kochamy je jak własne.

WD: Niestety, niektóre dzieci poszły już w świat.

Az których dzieci byliście, jesteście najbardziej dumni przez te ostatnie 20 lat?

PO: Kocha się wszystkie, ale dla mnie bardzo ważne są te sztuki, które są związane z początkiem naszego teatru, a które do dzisiaj są w naszym repertuarze: „Szalone nożyczki”, „Mayday 2” czy „Psychoterapia...”. Bo życie przepływa, są lepsze, gorsze czasy dla sztuki, dla artystów, a te spektakle trwają. My, aktorzy, trochę się w nich starzejemy, dojrzewamy, a kiedy widzownia ciągle na nie przychodzi, to jest to dla nas odmiadczające.

Po 20 latach nadal się dogadujemy. Teatr nas łączy. Tak jak w małżeństwie – ludzi łączą dzieci, wspólny dom, kredyt...

WD: Mamy też takie spektakle, które sobie ukochaliśmy, a które nie były, nie są wcale komercyjne. Pamiętam taką sztukę, której już nie mamy w repertuarze: „Życie szkodzi zdrowiu”. Bardzo ten spektakl lubiłem, był świetnie grany przez kolegów. Był poruszający, wzruszający. Trzeba go było zdjąć, bo przychodzili ludzie i mówili: „To jest smutne”. Bo oni się trochę za mało się pośmiali, ale nie tego oczekiwali. „Kiedy kota nie ma”, „Unia bez tajemnic” – kilka spektakli z żalem zdejmiemy z afisza. A to dlatego, że ciągle robimy w teatrze coś nowego.

PO: A nad „Unią...” to się nawet zastanawiamy, czy jej nie przywrócić, bo temat jest tak aktualny, role świetne – Wojtek i ja gramy urzędników unijnych ale w krasnoludkowych strojach biegamy po scenie.

WD: Stroje były przyciasne, choć białoczerwone, a urzędnicy unijni jak z dzisiejszych czasów. Wzbudzali radość.

Naszcześnie „Szalone nożyczki” gracie 15 lat i nadal mają się dobrze.

WD: One są nieśmiertelne. Będziemy je grać zawsze. Ludzie cały czas na nie przychodzą i cały czas chcą przychodzić.

PO: Podoba im się formuła. To jest spektakl interaktywny. Publiczność w nim uczestniczy. Mimo tej improwizacji przygotowanej w 97 procentach, to w tych trzech procentach, trzeba się mocno pilnować, bo publiczność różnie może zareagować: padają pytania z widowni, trzeba być czujnym.

Jedno dziecko adoptowaliście, zagranicę było, mówiło tylko po niemiecku.

WD: To nie adopcja. Od razu po urodzeniu mówiło po niemiecku. Fajnie to było przetłumaczone, fajnie zagrane: „Drei mal das Bett” – niestety mało to graliśmy. Zapotrzebowania nie było, choć we Wrocławiu przecież mnóstwo niemieckich turystów. Ale niestety to oszczędni turyści...

PO: Grałem w tym z Kingą Zabokrzycką. Ona bardzo dobrze mówi po niemiecku, ja się staram. Nawet moi niemieccy przyjaciele stwierdzili: „Mówisz z akcentem, ale takim południowym, jak z Bawarii”. Szkoda, że to dziecko takie zapomniane.

Wróćmy do początku Waszej współpracy, do pierwszego spektaklu 20 lat temu... Wasze pierwsze dziecko było bardzo wyczekiwane? Towarzyszył temu niepokój? Strach?

WD: To był pomysł Mariusza Łukasiewicza, wrocławskiego biznesmena, wizjonera, twórcy Lucas Banku i Eurobanku. On po-



► „Szalone nożyczki” już od 15 lat goszczą na scenie Wrocławskiego Teatru Komedia. I nadal



► „Kiedy kota nie ma”. Rok 1999. Wojciech Dąbrowski (po lewej) i Paweł Okoński



► „Unia bez tajemnic” już niestety zesza z afisza Komedii. Czy kiedyś na niego powróci?

Wrocławski Teatr Komedia zaprasza już w niedzielę i w poniedziałek. Aktorzy zagrają znakomitą sztukę – „Pomoc domowa”. 21 maja (w niedzielę) będzie ją można zobaczyć o godz.18, a w poniedziałek, 22 maja, o godz.19. Bilety są po 60 zł (ulgowe) i 80 zł (normalne). Teatr Komedia gra w budynku Wrocławskiego Teatru Lalek przy pl. Teatralnym 4.

FOT. ARCHIWUM TEATRU KOMEDIA

FOT. ARCHIWUM TEATRU KOMEDIA

tekstami, które bawiły, ale i.. tortem



FOR. ARCHIWUM TEATRU KOSZEWIAK

mają się świetnie. Bilety sprzedają się na pniu

wiedział do nas: „Zróbcie spektakl”. Wcześniej Mariusz woził po Polsce, do swoich największych bankowych oddziałów różne śpiewające gwiazdy, a nam zaproponował, żebyśmy zrobili teatr. Obiecał, że opłaci produkcję, tylko „ma być fajnie”. I żeby było fajnie, Paweł, dzięki znajomości z Wojciechem Pokorą, ściągnął go do Wrocławia i Wojciech wyreżyserował nam „Kochane pieniądze”.

PO: Choć wcale nie było tak łatwo. My byliśmy początkujący, twórcą sztuki - Ray Cooney - był na wielkiej fali, szalenie popularny. I nie chciał dać praw do wystawienia tej sztuki jakiemuś tam teatrykowi z Wrocławia. Wojciech Pokora był przy negocjacjach z agentem autora, kazał nam w pewnym momencie wyjść z pokoju i tylko słyszeliśmy: „Ile ty na mnie zarobiłeś, ile ja spektakli zrobiłem z których masz pieniądze? Chłopakom trzeba dać szansę, to są dobrzy aktorzy, wydziecie to świetnie, sam to wyreżyseruję”. I dostaliśmy prawa do zagrania sztuki od Cooney'a. I później, już nas pamiętając, dał nam, jako drugiemu teatrowi w Polsce, prawa do „Mayday'a 2”. To było coś.

WD: Początki były takie, że scenografię stanowiły zastawki: dwa metry wysokości, 1,40 metra szerokości podtrzymywane od tyłu - to było i wejście do pokoju, i wyjście z niego. I koniec. Materiałem to się obilo, wahałowe drzwi na gumach. Jak w szkole teatralnej. Duża umowność.

PO: Piękne było to, że aktorzy sami stawali, demontowali i nosili dekoracje. Każdy miał swój jakiś kawałek przydzielony, ktoś inny niósł i rozwijał dywan, a po spektaklu go związał. Ktoś inny rozkładał i zbierał, już „po”, rekwizyty.

WD: Dziesięć minut i wszystko było złożone. Tacy byliśmy zorganizowani... Dobrze nam się wspomina te czasy, bo to było życie typowej teatralnej trupy. Wszystkim nam się wtedy bardzo chciało.

Kiedy się jest na początku małżeństwa, mieszka się w ciasnej kawalerce, z dwójką dzieci, to po latach ten czas wspomina się najczulej, najmiej.

WD: Ciasne, ale własne. Szczęście było. Z uśmiechem na twarzy to wspominaamy. Premierę zagraliśmy w hotelu Kasprowy w Zakopanem. Mariusz wynajął cały hotel dla swoich pracowników, wyjazd był super, trzy dni zabawy, a spektakl miał być wisienką na torcie, na sam finał. Ekipa była w bardzo dobrych humorach, bo wszyscy bawili się już dwa dni, a my z ogromnym stresem, bo okazało się, że nie ma teatralnego oświetlenia w hotelu, nam żarówki wysiadły w reflektorach, w czasie transportu. Na szczęście pomógł nam Teatr Witkacego w Zakopanem.

PO: Na dodatek jeden z naszych kolegów miał przed spektaklem straszne problemy żołądkowe i cały czas siedział w toalecie. I gdy miał wychodzić na scenę, waliliśmy w drzwi od WC, on wybiegał na scenę, grał, co miał zagrać, i wracał tam, gdzie król chodzi pichotą.

WD: A Andrzej Szopa, który grał w tym spektaklu, a był najbardziej zestresowany z nas wszystkich, dał piękny popis. Dostaliśmy ogromny tort na koniec...

PO: I Andrzej tak się ucieszył, że wszystko nam się udało, że spektakl wyszedł świetnie, że wziął ten tort i zaczął rzucać w widownię, która cieszyła się jak dzieci. Emocje nas poniosły - tort fruwał. Ten sukces na samym początku wprowadził nas w błąd. Chwilę później Mariusz organizował imprezę, we Wrocławiu - czerwone dywany, byli ludzie od prezydenta, z ministerstwa, hierarchowie kościoła. I wśród tych ludzi my i nasz spektakl „Kochane pieniądze”. Otworzyła się kurtyna...

WD: Goście sztywni, zero uśmiechu, zero pozytywnej energii...

PO: Kompletnie inne reakcje, niż w czasie naszego premierowego występu w Zakopanem. We Wrocławiu było: „Baw mnie błaznkiem”.

WD: Czas: 5 minut, 10, 15... Porażka totalna.

PO: I przed końcem pierwszej części spektaklu była scena: zamienialiśmy się walizkami. W jednej były rękawiczki i kanapka, w drugiej - narkotyki, a w trzeciej - pieniądze. I one były zamieniane, podmieniane - jak w grze „trzy karty”. Nie wiadomo było, co gdzie jest i w którym miejscu. I te walizki nie miały prawa, absolutnie, się otworzyć do końca spektaklu, bo nie będzie zaskoczenia na koniec. To były nowe walizki, na szyfry, posprawdane. I w pewnym momencie rzucałyśmy tymi walizkami na scenie i jedna poleciała do góry, ta z pieniędzmi i się w powietrzu otworzyła... Tytułowe pieniądze się rozsypały, oczywiście nie w tym miejscu sztuki, w którym miały się rozsypać. Siedliśmy na scenie, obasypani tymi pieniędzmi. I jeden z naszych kolegów powiedział do publiczności: „No i nic nam teraz nie pozostało, jak zastąpić kurtyne”. No i zamknęliśmy kurtynę, pozbiieraliśmy banknoty i zaczynamy grać od tego momentu, na nowo. Kurtyna w górę, a na sali jakby inni ludzie: krawaty poluzowane, klaszczą, krzyczą, śmieją się... I do końca spektakl był świetny, choć te pierwsze 30 minut będę pamiętał do końca życia.

WD: Podobno znakomity teatrolog, Pan profesor Janusz Degler, uczy o tym naszym wypadku studentów. I od tego się zaczęło, i tak ten nasz teatr trwa. 20 lat.

Początki? Aktorzy sami stawali, demontowali i nosili dekoracje. Każdy miał swój jakiś kawałek przydzielony...

Wrocławski Teatr Komedia na samym początku nazywał się „Teatr Poniedziałkowy”.

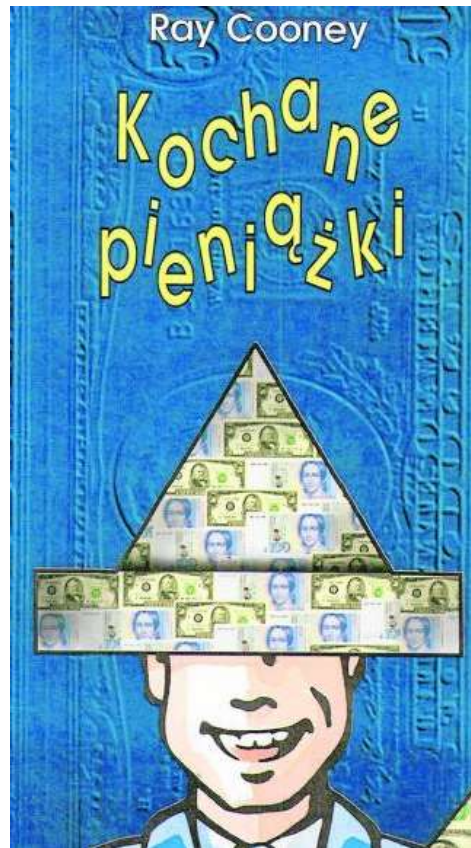
PO: Bo graliśmy w poniedziałki - wtedy, kiedy inne teatry były zamknięte. I każdy nasz spektakl był premierą, bo aktorzy przez wiele dni robili inne rzeczy i nagle, w poniedziałek, wychodzili na naszą scenę. Spektakl im się „nie ubijał”. Na dodatek grali go w poniedziałek, co dla aktora jest szalenie trudne. Bo zakodowane mają wszyscy, że w poniedziałki ich umysł odpoczywa. I ciało też. Ba, tego dnia nie można było nawet samochodu prowadzić. A spektakl był skomplikowany, intryga w nim też, łatwo było się pomylić. Raz nam się tak spektakl posypał, że trzeba było improwizować. Wszystko się pomieszało tak bardzo, że Aldonka Struzik, która grała jedną z ról, weszła na scenę i rzekła: „To ja teraz pójde do piwnicy”. I wyszła. Byliśmy skołowani: „Do jakiej piwnicy, przecież tu nie ma żadnej piwnicy?” A ona poszła za kulisy i się nogami i rękami zapierała, że nie wyjdzie już przed publiczność, bo przedstawienie w rozsypance. Mój teść, który widział to z widowni, stwierdził już po zakończeniu: „Bardzo mi się to podobało. W pewnych momentach miałem wątpliwości, bo nie do końca zrozumiałem, o co chodzi, bo ktoś do piwnicy wychodził, nie wiadomo czemu, ale podobało mi się, podobało...”.

W czerwcuzaczynacie świętować jubileusz teatru.

WD: 18 czerwca gramy „Szalone nożyczki”, po których będzie wieczór wspominkowy z gwiazdami naszego teatru. Sztuka zostanie wystawiona na scenie letniej Wrocławskiego Teatru Lalek, w parku Staromiejskim. Wstęp będzie darmowy - trzeba wziąć kocyk, krzeselko, usiąść wygodnie i będzie można zobaczyć nasz jubileuszowy spektakl. Zaczynamy o godzinie 19. A po „Nożyczkach” i wspominkach chcemy zrobić na budynku teatru - widowisko światłodźwiękowe tak zwany mapping. Świetne animacje.

PO: Poza tym od 1 do 14 sierpnia na wrocławskim Rynku będzie można zobaczyć wystawę zdjęć ze spektakli naszego teatru, z ostatnich 20 lat. To taki nasz hołd aktorom i tym wszystkim, którzy trwają razem z nami w tym „teatralnym małżeństwie” i przyczynili się, że jesteśmy na teatralnej scenie Wrocławia już dwie dekady. ●●●

Rozmawiał Robert Migdał



► Reżyser Wojciech Pokora (pierwszy z lewej) z aktorami



► Premiera sztuki „Kochane pieniądze”. Rok 1997. Zakopane

FOT. ARCHIWUM TEATRU KOSZEWIAK